Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 268 (Rok XV, Nr 8) 15 kwietnia 1955 Cena (Price) 1/6

OSTATNI WIKTORIANIN

W ANGLII nastąpiła zmiana, która ma znaczenie nie tylko dla Wielkiej Brytanii i nie tylko personalne. Winston Spencer Churchill ustąpił ze stanowiska premiera po 55 latach nieprzerwanej niemal działalności publicznej. Nie zniknie on niewątpliwie ze sceny politycznej, ale wpływ jego będzie odtąd raczej pośredni, jego autorytet nie będzie ciążył bezpośrednio na każdej ważniejszej decyzji.

Historię kształtują prądy dziejowe: umysłowe, demograficzne, ekonomiczne, techniczne; wyciskają na niej swe piętno wielkie ruchy ideowo-polityczne; fałszywy jednak obraz historyczny miałby ten, kto by nie dostrzegł roli wybitnych jednostek. Ten sam ruch w tych samych warunkach odegra inną rolę, jeśli reprezentowany i kierowany będzie przez innego człowieka. Na wydarzeniach ostatniego półwiecza wycisnęły swój ślad nie tylko Anglia i nie tylko brytyjski konserwatyzm i kapitalizm, ale także Winston Churchill.

Za wcześnie jest w tej chwili oceniać jego rolę, gdyż rola ta nie jest jeszcze zakończona. Można jednak powiedzieć, że w dziejach państwa brytyjskiego z chwilą odejścia Churchilla od steru zamknęła się pewna epoka. Wprawdzie przychodzi na jego miejsce uczeń i młodszy przyjaciel, ale jest to już człowiek innej epoki. Churchill był ostatnim wiktorianinem. Do polityki wszedł jeszcze za panowania starej królowej. Miał w swojej działalności publicznej zawsze pewne cechy tej epoki: żywotność, arogancję i familiarność wiktoriańskiego gentlemana, traktowanie zespołu kierowników wielkich mocarstw jako klubu ekskluzywnego, sportowy stosunek do polityki, lekkie traktowanie doktryn i idei, szukanie wyjść prostych bez oglądania się na skrupuły, a nade wszystko wiktoriański typ nacjonalizmu wyrażający się może najdobitniej w starej maksymie, że Anglia nie ma stałych przyjaźni, ma tylko stałe interesy.

Od swoich rodaków wyróżniał się w polityce posiadaniem wyobraźni. Umiał, jak mówią Francuzi, „voir grand", widzieć sprawy w wielkich wymiarach. Mając wyobraźnię, pewność siebie, bezwzględność i wdzięk głównie wielkopański, ale trochę i cygański, narzucał swoją osobowość, swoje zdanie i wolę nie tylko politykom brytyjskim, ale i politykom innych narodów. Był istotnie figurą światową, najbardziej chyba znanym z żyjących mężów stanu. W tej roli, z wszystkimi jej błędami, ale i z wszystkimi zaletami, dla Anglii nie może być przez nikogo innego zastąpiony.

Stosunek większości Polaków do Churchilla był wielkim nieporozumieniem. Naprzód, w latach wojennych chcieli w nim widzieć przyjaciela, niemal narodowego wodza, potem, od czasu Teheranu nieprzyjaciela, niemal zdrajcę. W istocie Churchill nie był ani przyjacielem, ani nieprzyjacielem Polaków, był tylko zawsze reprezentantem interesów brytyjskich.

„PIĄTE MOCARSTWO"

Wielotygodniowy strajk mechaników i elektryków drukarskich pozbawił Londyn na wiele tygodni dzienników. Można na tym tle snuć różne refleksje o roli ruchu zawodowego, o dziwnej polityce magnatów prasowych, o politycznych kulisach zatargu. Można podkreślić paradoks, że wybory samorządowe i zmiana rządu odbyły się w nieobecności prasy stołecznej. Najbardziej jednak rzuca się w oczy wniosek, jak małą rolę w kształtowaniu opinii brytyjskiej odgrywa prasa. W ojczyźnie samorządu politycznego i rządów opartych o opinię brak prasy nie został odczuty boleśnie.

W przedwojennej Polsce konsumpcja gazet na głowę ludności stanowiła maleńki ułamek takiejż konsumpcji londyńskiej. A przecież było nie do pomyślenia, żeby czytelnicy mogli się obyć bez dzienników przez kilka tygodni. Powstałyby po kilku dniach na pewno jakieś wydawnictwa codzienne drukowane na prowincji. Stronnictwa polityczne nie pogodziłyby się nawet przez tydzień z brakiem kontaktu gazetowego z czytelnikami. Prawda, że rozpowszechnienie radia było nieporównanie mniejsze, a telewizja nie istniała. Radio podaje jednak tylko informacje agencyjne, nie podaje komentarzy i opinii. Publiczność brytyjska nie odczuwa braku tych opinii i komentarzy. Odczuła istotny brak jednego elementu, którego nie daje radio; przewidywań co do wyścigów konnych i psich, co do poolów piłkarskich. Tę rzeczywistą potrzebę już po paru dniach starały się zaspokoić codzienne wydawnictwa specjalne.

Decyzje polityczne Brytyjczyka nie zapadają na podstawie opinii wyrażonych na piśmie, lecz na podstawie często nieuchwytnych solidarności klasowych czy towarzyskich, dzielnicowych, czy sąsiedzkich.

Obyczaj i ustrój demokratyczny angielski powstał zanim prasę uznano za „piąte mocarstwo" i nie ugiął się przed nią. A może mocarstwo prasowe, jak tyle mocarstw w ostatnim stuleciu, spadło do roli drugorzędnej, stało się siłą zależną od imperium, które nazywa się reklamą (albo bardziej prestiżowo — propagandą) i którego oświadczeń nikt nie bierze poważnie?

WIOSNA KONFERENCJI

1. Świat i Europa

Od chwili gdy nowy premier sowiecki, Bułganin, zaśpiewał syrenim głosem o potrzebie nowej konferencji, a prezydent Eisenhower zasadniczo wypowiedział się, ostrożnie i warunkowo, w tym samym duchu, świat zachodni zaczął myśleć o możliwości kolejnych spotkań na niższym, wyższym i wreszcie najwyższym szczeblu. Tymczasem od chwili zmiany rządów w Sowietach oficjalny sens takiego spotkania jest inny, niż w okresie kiedy Churchill i Mołotow prowadzili korespondencję co do ewentualnego spotkania z Malenkowem.

Wtedy bowiem panowała oficjalna zgodność w zdaniach wypowiadanych na Zachodzie i Wschodzie na temat możliwości wojny atomowej, teraz zaś panuje w tej sprawie bezwarunkowa rozbieżność. Dlatego też, bez względu na szczerość czy nieszczerość ówczesnych wypowiedzi sowieckich, rozmowy na najwyższym poziomie wielkiej czwórki czy piątki mogły się zacząć, choć nie bardzo było wiadomo czy mogłyby się jakoś pozytywnie skończyć. Wtedy Malenkow stał na stanowisku, że wojna wodorowa oznaczałaby koniec cywilizacji, przez co potwierdzał oficjalną opinię Churchilla.

Dzisiaj cała maszyna sowieckiej propagandy została ustawiona na przekonanie obywateli sowieckich, że wojna wodorowa jest możliwa i że przyniesie ona ewentualnie większe szkody światu zachodniemu niż blokowi sowieckiemu. Jest to nie tylko oficjalna teoria nieustępliwości, jest to coś więcej, bo wyzwanie rzucone Zachodowi i nakaz dla własnych obywateli do nieobawiania się najgorszego.

W tych warunkach nie będzie można mówić na ulubiony temat zachodnich mężów stanu, to jest o rozbrojeniu i kontroli atomowej.

Wiadomo poza tym z niedyskrecji sowieckich, że Sowiety wysunęły własny program podczas londyńskich obrad podkomisji rozbrojeniowej ONZ. Program ten sprowadza się do żądania obcięcia wszystkich wojsk świata o jedną trzecią, zniszczenia zapasów bomb wodorowych i atomowych, a następnie do wprowadzenia międzynarodowej kontroli wykonania tego programu. Skutkiem byłaby niesłychana przewaga liczbowa komunistyczna. Jasne, że podobny plan jest nie do przyjęcia dla państw Zachodu.

W sprawach europejskich Sowiety ani na moment nie przestały zwalczać paktów paryskich i wcale nie przestały mówić o niemożliwości zjednoczenia Niemiec po ratyfikacji.

Natomiast ciężar propagandy sowieckiej przesunął się na sprawę Austrii. Jakie będzie ostateczne stanowisko Sowietów w tej kwestii, nie jest jeszcze pewne, ale prawdopodobne propozycje nie wyglądają zbyt różowo. Pobyt wojsk sowieckich na Węgrzech i w Rumunii wkrótce przestanie być związany z „utrzymywaniem komunikacji między terytorium ZSRR, a terytoriami okupowanymi", ponieważ po zawarciu układu wojskowego satelickiego czerwona armia będzie najprawdopodobniej „zaproszona" do państw naddunajskich. W tych warunkach Sowiety mogą proponować zakończenie okupacji Austrii, pod warunkiem jednoczesnego wycofania wojsk amerykańskich, brytyjskich i francuskich. Z punktu widzenia strategii sowieckiej nie byłaby to wielka zmiana, ale z punktu widzenia Zachodu bardzo znaczna, bo wojska amerykańskie straciłyby bezpośrednie połączenia z Jugosławią i Włochami.

Poza tym taki układ mógłby być precedensem dla podobnych żądań w kwestii Niemiec, co nawet w warunkach zbrojenia Niemiec Zachodnich nie mogłoby Zachodowi odpowiadać.

W świetle tych możliwości zupełnie nie wiadomo, czemu ma służyć ewentualna konferencja czterech lub pięciu.

2. Azja i Afryka

Inna porcja konferencji już się zaczęła w Azji i będzie trwać przez cały kwiecień. Różnią się one znacznie od proponowanych spotkań między Sowietami a Stanami Zjednoczonymi i sprzymierzeńcami, gdyż nie biorą w nich udziału państwa Zachodu. Poza tym z państw komunistycznych znacznie silniejszą pozycję mają tam Chiny niż Sowiety. Dzieje się to dlatego, że obie konferencje, azjatycka i azjatycko-afrykańska, zostały zwołane przez państwa ludów kolorowych jako próba stworzenia bloku przeciw białym.

Konferencja azjatycka rozpoczęła się w Nowym Delhi w początku kwietnia, a konferencja azjatycko-afrykańska rozpocznie obrady 18 w Bandoengu na wyspie Jawie, w Indonezji.

Punktem wyjścia dla obu konferencji miała być próba stworzenia trzeciego bloku, „neutralnych" w sporze Waszyngton — Moskwa, ale spaliła ona na panewce przy ustalaniu składu. Sowiety są bowiem państwem częściowo azjatyckim, Chiny całkowicie i oba zostały zaproszone na obie konferencje. Zachodni punkt widzenia jest reprezentowany przez kilka mniejszych państw Azji z Pakistanem i Cejlonem na czele.

W tych warunkach trudno oczekiwać, żeby konferencje przyniosły jakieś pozytywne wyniki. Natomiast jest zupełnie możliwe, że będą czynione próby zorganizowania koncertu antyeuropejskiego i antyamerykańskiego, ponieważ najmniej połowa uczestników nadal przeżywa przypływ nienawiści do wczorajszych potęg kolonialnych, czyli do białych w ogóle.

Nie ma dalej wątpliwości, że państwa komunistyczne będą usiłowały złowić jak najwięcej ryb w tej mętnej wodzie. Można przypuszczać, że Chiny złowią ich więcej niż Sowiety. Wiadomo, że do Bandoengu jedzie Czou En-lai, nic zaś nie słychać o Mołotowie, jednocześnie obiegają świat pogłoski, że Chiny mają coś do zaofiarowania Egiptowi i jego sojusznikom z Ligi Arabskiej.

Sowiety są w trudniejszym położeniu. Wprawdzie to one zainaugurowały „walkę ludów kolonialnych przeciw imperializmowi", ale przeszkadza im biały kolor skóry Rosjan. Azja i Afryka w dużym stopniu zwracają się przeciw wszystkim narodom rasy europejskiej. W szeregach czystokomunistycznych Rosjanie są wyjątkiem, lecz wśród zwykłej lewicy nie. Jeżeli Czou będzie usiłował wyrwać Indiom sztandar przodownictwa na konferencji w Bandoeng, to aby zyskać na popularności musi wznieść hasło antyeuropejskie.

Może dlatego Sowiety spodziewają się więcej po Indiach. Stąd przygotowują wielkie uroczystości na przyjęcie Nehru w Moskwie z początkiem lata, chwalą też politykę Indii we wszystkich przemówieniach na tematy zagraniczne.

DREPTANIE W MIEJSCU

W kraju trwa kryzys papierowy. Gazet nadających się do czytania jest bardzo niewiele, natomiast wiele drukuje się nikomu niepotrzebnej bibuły. Komuniści nie umieją znaleźć dróg wyjścia z tej sytuacji i propagują likwidację małych wydawnictw tygodniowych, jakby to mogło być receptą na kryzys.

W cyfrach sytuacja wydawnicza ma wyglądać następująco (według pism komunistycznych): „Trybuna Ludu" wydaje 596.000 egzemplarzy dziennie, „Express Wieczorny" 219.000, „Życie Warszawy" 177.000. Z tygodników „Przekrój" drukuje 365.000, „Dokoła świata" 236.000, „Sport" 103.000.

„Życie Warszawy" w jednym z ostatnich numerów przyznało, że codziennie widzi się ogonki przed kioskami gazetowymi. Czytelnik nie może otrzymać wystarczającej ilości „Życia Warszawy", „Expressu", „Przekroju", „Dokoła świata", „Sportu".

Nie znaczy to, aby wymienione pisma zaspokajały pragnienia i ambicje czytelnika. W porównaniu jednak z „Trybuną Ludu", „Trybuną Robotniczą", „Głosem Pracy" czy „Nowymi Drogami" pisma półkomunistyczne i półinformacyjne w rodzaju „Życia

Warszawy" dają jakiś surogat prasy przypominający autentyczną gazetę. Można zresztą powiedzieć, że z punktu widzenia czysto technicznego są one o niebo lepsze od ich sowieckich mistrzów.

Tymczasem gazety partii komunistycznej, nudne i pompatyczne, mają największe nakłady. Dlatego właśnie brak papieru na pisma półinformacyjne, które cieszą się popytem, gdyż czytelnik musi ostatecznie czytać jakąś gazetę.

Zbiegli marynarze wielokrotnie opowiadali prasie polskiej w Londynie, jak to każdy z nich musiał z góry płacić za „Trybunę Ludu", że jej nigdy nie czytał, bo nic tam nie było ciekawego. Każdy również skarżył się, że w Gdyni i Szczecinie miejscowe pisma informacyjne wychodzą w niewielkim nakładzie.

Wyjście z tej sytuacji jest i to bardzo proste. Trzeba zlikwidować „Trybunę Ludu" i jej uliczne siostry, a papier na gazety informacyjne by się znalazł.

JÓZEF PŁOSKI

PATRIOTYZM, RELIGIA I POLITYKA

POLSKI ruch narodowy nie powstał jako zrzeszenie się pewnego grona osób mających na celu przez zdobycie władzy przeprowadzenia pewnego programu rządzenia. Nie powstał też jako doktryna dająca odpowiedź na wszystkie pytania, jako wytworzona w mózgu filozofa teoria mająca uszczęśliwić społeczność w nadchodzącym *millenium*. Warto to przypomnieć, zaczynając od cech, których ruch narodowy nie posiada, żeby sobie zdać sprawę z jego istoty.

Genezą bowiem powstania ruchu narodowego w Polsce było nienormalne położenie, charakteryzujące się tym, iż wielki liczbą naród, jeden z liczniejszych w Europie, mający okres imponującej przeszłości, prężny, umiejący skutecznie stawiać czoło największym potęgom politycznym, nie posiada własnego państwa, a co za tym idzie jest pozbawiony możności kształtowania swych losów. Podzielony sztucznymi barierami granicznymi, czujący jedność, zagrożony w bycie biologicznym naród musiał się bronić wobec wroga zewnętrznego. Takie bowiem było jego położenie międzynarodowe. A wewnątrz, czyż nie musiał przez odnowienie swej świadomości i inności walczyć z zarazą zwątpienia w swe zdolności twórcze, wyrażaną w prądach godzących się pod ciężarem rzeczywistości z ograniczaniem jego aspiracji duchowych? Czyż nie należało go odgrodzić od tych prądów międzynarodowych, które swe dyrektywy otrzymywały od czynników zasadniczo wrogich sprawie polskiego patriotyzmu, od roztapiania własnego dążenia do samoistności państwowej w morzu powszechnej rewolucji? Ten czynnik szlachetnej reakcji na wszystko co naród mogło zgubić lub zagubić, to druga cecha polskiego ruchu narodowego. Tymi jedynymi warunkami bytu narodu tłumaczy się zasadnicze różnice, jakie odcinają polski ruch narodowy od nacjonalizmów europejskich, powstających najczęściej jako ruchy intelektualne lub narzędzia zdobycia władzy.

Nasz ruch powstawał organicznie, rodził się jako odnowienie naturalnego uczucia właściwego każdemu normalnemu człowiekowi, jakim jest miłość ojczyzny — patriotyzm. Dlaczego mówimy „odnowienia"? Czyżby ruch narodowy rościł sobie wyłączność na patriotyzm, czyżby patriotyzmu przed nim nie było? Oczywiście nie! Ale w naturalnym pojęciu patriotyzmu pierwsze miejsce ma uczucie, miłość, czasem tylko przywiązanie do miejsca. Polski ruch narodowy postawił sobie ambitne zadanie unowocześnienia patriotyzmu, przemienienia uczuć naturalnych na pełną świadomość intelektualną, przetworzenia ich na czynnik wzbudzający utajoną energię narodu; przekucia patriotyzmu na narzędzie ustawiające każdą część w stosunku do całości narodu, pojętego historycznie na przestrzeni jego istnienia; ustanowienia w narodzie nieustającej straży, zdolnej przestrzec go przed każdym zamachem i uodpornić na narzucanie obcej woli.

Rodząc się w narodzie poniżonym i w niewoli polski ruch narodowy był od zarania zaszczepiony uodparniająco wobec megalomanii narodowej. Zbyt jaskrawa była przepaść między tym co było i tym co być powinno, żeby nie mieć stale w pamięci konieczności olbrzymiego wysiłku dla nadrobienia drogi, po której kroczyły wolne narody. Stąd też w polskim ruchu narodowym nie rozwinął się nigdy szowinizm, podbudowujący swą pychę teoriami o wyższości rasy. Nie dlatego, żeśmy wyżsi, ale żeśmy równi innym narodom mamy prawo do posiadania własnego państwa i kształtowania swego losu. Zdawaliśmy sobie zawsze sprawę, że „na głębszych podstawach oparty patriotyzm nie potrzebuje żywić się i wspierać przekonaniem o wyższości swego narodu nad innymi, a poczucie niższości własnego narodu pod jakimkolwiek względem nie może zmniejszać jego siły moralnej" (Dmowski, „Myśli nowoczesnego Polaka"). Co więcej, to niebezpieczne położenie naszego narodu, powtarzające się kilkakrotnie w jego dziejach, nadało polskiemu patriotyzmowi cechę, którą francuski pisarz nazwał nacjonalizmem ofiary (un nationalisme de sacrifice — F. Strowski). I znów nie chcemy, by nas źle rozumiano. Zdolność do poniesienia ofiar dla sprawy ojczyzny nie jest ani zjawiskiem nowym, ani wyłącznym dla ruchu narodowego. Ale ta zdolność instynktowna przemienia się w polskim nacjonalizmie w stałą postawę psychiczną, w styl życia, w stosunek synowski do narodu.

Te szczególne warunki okresu powstawania naszego ruchu spowodowały, że więcej poświęcono w nim uwagi zgłębieniu samej istoty narodu, niż w nacjonalizmach dojrzewających w warunkach bytu państwowego, absorbującego uwagę zagadnieniami administracji i zdobycia władzy, problemami ekonomicznymi i społecznymi.

★

W naszym pojmowaniu narodu przebija się przede wszystkim jego jedność psychiczna. Każdy formułujący określenie narodu to podkreślał. „Naród nie jest martwą cyfrą, zbiorowiskiem jednostek, mówiących pewnym językiem i zamieszkujących pewien obszar" — pisał Dmowski w „Myślach" — lecz stanowi „nierozerwalną całość społeczną, organicznie spójną, łączącą jednostkę ludzką niezliczonymi więzami, z których jedne mają swój początek w zamierzchłej przeszłości — twórczyni rasy, inne w znanej nam historii — twórczyni tradycji, inne wreszcie, mające wzbogacić treść tej rasy, tradycji, charakteru narodowego, tworzą się dziś, by w przyszłości dopiero silniej się zacieś-

nić." A z tego wypływa, że patriotyzm w naszym pojmowaniu, „to nie system filozoficzny, który ludzie równego poziomu umysłowego i moralnego przyjmują lub odrzucają: to stosunek moralny jednostki do społeczeństwa; uznanie go jest koniecznością na pewnym stopniu rozwoju moralnego, a odrzucanie świadczy o moralnej niedojrzałości lub upadku". I przetrawiając pojęcie narodu, odczuwając rytm jego życia polski ruch narodowy pojmował naród jako coś żywego, ponadosobowego, organizującego, ale nieabsolutnego. W przeszło trzydzieści lat po definicji przytoczonej wyżej, Roman Dmowski uzupełniał swoje pojmowanie narodu jego duchowym rządem wewnętrznym: „Naród nie jest bezkształtną, mechaniczną mieszaniną równych sobie jednostek: jest on samorzutną organizacją, jak wszelki organizm, składa się z rozmaitej wartości części składowych, na rozmaity sposób od siebie uzależnionych. Faktyczne kierownictwo spraw narodu nie spoczywa w jego masie, ale w tej części, która posiada głębszą świadomość narodową, mocniejsze poczucie narodowych obowiązków i odpowiedzialności za losy narodu, wreszcie szersze zrozumienie położenia narodu i jego zadań („Przewrót", 1934).

To położenie akcentu na świadomość poczucia obowiązków zbliża definicję narodu, sformułowaną przez Dmowskiego, do analizy istoty narodu przeprowadzonej przez Piusa XII w orędziu wigilijnym 1944 r., gdy pouczając o demokracji w pojęciu chrześcijańskim papież mówił: „Naród żyje pełnią życia ludzi, z których się składa, a z których każdy na swoim miejscu i we własny sposób jest osobą świadomą swojej odpowiedzialności i swoich przekonań". Naród nie jest więc według papieża mechanicznym zbiorem indywiduów — komentuje o. Bocheński — popędzanych od zewnątrz, ale powstaje, istnieje i działa dzięki harmonijnemu współdziałaniu tendencji poszczególnych ludzi. Naród jest przeciwieństwem zorganizowanego tłumu, bo — słowami papieża — „obywatel czuje w sobie świadomość własnej osobowości, swoich obowiązków i praw, własnej wolności, połączonej z poszanowaniem dla wolności i godności innych".

Dlatego w myśl pojmowania chrześcijańskiego narodu polski ruch narodowy przeciwstawia się próbom innych koncepcji. „W imię kultury polskiej stanowiącej część łacińskiej cywilizacji musimy się przeciwić mechanizowaniu życia publicznego, stawać w obronie żywego organizmu, a do tego wszystkiego fundamentalnym warunkiem jest pielęgnowanie personalizmu" (prof. Feliks Koneczny, „Myśl Narodowa", 1933).

★

Tu dochodzimy do podstaw personalizmu, do związku życia narodu z Bogiem. Od zarania ruchu narodowego w Polsce wyczuwano łączność poczucia narodowego z religijnym. Od pierwszych programów podkreślano konieczność obrony religii i choć ruch narodowy nie był nigdy ruchem konfesjonalnym, choć brali w nim polityczny udział ludzie o pojęciach pozytywistycznych i nie-katolicy, przecież zawsze zdawano sobie sprawę, czym w życiu Polski jest Kościół. W miarę zaś pogłębiania idei narodowej, w miarę formułowania nowoczesnego pojęcia narodu przechodziliśmy ewolucję, w której punkt wyjściowy stanowi owo sformułowanie Zygmunta Balickiego, mówiące o tym, że „podniesiony do godności etycznego sztandaru naród nie staje się przez to celem, zdolnym wszystkie środki uświęcać", aż po wyznanie wiary współczesnego Polaka: „Katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, zabarwieniem jej na pewien sposób, ale tkwi w jej istocie, w znacznej mierze stanowi jej istotę. Usiłowanie oddzielenia u nas katolicyzmu od polskości, oderwanie narodu od religii i od Kościoła, jest niszczeniem samej istoty narodu" (Dmowski, „Kościół, naród i państwo", 1927).

Trzeba się jednak zastrzec przed pomieszaniem pojęć. Wprawdzie dla nas „polityka narodu katolickiego musi być szczerze katolicka, to znaczy że religia, jej rozwój i siła musi być uważana za cel, że nie można jej używać za środek do innych celów, nic wspólnego z nią nie mających" (Dmowski tamże). Nie wolno jednak łączyć polityki z religią w ten sposób, by polityka stawała się przez to klerykalizmem, a religia uprawianiem polityki. Zachodzenie tych dwóch dziedzin na siebie musi być takie, by każda spełniała swoje zadania w harmonii z drugą. Inaczej jedna szkodzi drugiej i sobie. „To co nazywa się polityką chrześcijańską — precyzuje o. Journet — jest polityką samą w sobie naturalną, ludzką w swej istocie, lecz uszlachetnioną, wspartą, oświeconą wpływem chrześcijaństwa. Jest ona chrześcijańska w sposobie bycia, w swej substancji pozostaje naturalna, świecka, ludzka."

Istnieje na ten temat wiele nieporozumień wynikających z pomieszania pojęć. Są tacy, których ten element ludzki w polityce tak przeraża, że chcieliby zupełnej izolacji wiary od życia narodu, przejawiającego się w polityce bieżącej. Jest to zgubny prymitywizm myślenia, przed którym przestrzegają papieże i myśliciele chrześcijańscy. Wybitny pisarz katolicki, cytowany już o. Journet, pisze: „Pozostawiać świat polityczny diabłu, mówić, że nie ma polityki chrześcijańskiej, a tylko są katolicy w polityce, wierzyć, że chrześcijaństwo może się zadowolić uświęcaniem obyczajów osób indywidualnych... to w naszych oczach jest nieludzkie, to przygotowywanie dróg dla rasizmu lub marksizmu, to nade wszystko jest zapoznawanie w stopniu ciężkim wartości i wymagań uświęcających religii Słowa Wcielonego („Exigences chrétiennes en politique").

Że takie pojmowanie obowiązków katolika w polityce nie jest tylko teoretycznym wywodem pisarza katolickiego, świadczy również sformułowanie polityka włoskiego, twórcy ruchu politycznego, ks. Luigi Sturzo, który pisze: „W porządku wolności katolik nie może pozostać izolowany i obcy życiu nowoczesnego państwa, które przyjęło na siebie wiele cech i kulturalnych oraz moralnych funkcji, jakich dawniej nie miało, i obecnie włada wszystkimi siłami społeczeństwa. Jeśli katolik pozostanie na uboczu, ściąga na siebie ciężką odpowiedzialność wobec Boga i bliźnich, gdyż pozostawia wspólnotę tym, którzy nie uznają praw chrześcijańskiej moralności".

Ścisłość myślenia i sięgnięcie do zasad uchronić winno od zgubnego izolowania dwóch dziedzin, religii i polityki narodu, które nie mogąc być identyfikowane mają wspólny cel. Jak przypomina Pius XII: „początkiem i celem życia społecznego jest zachowanie, rozwój i doskonalenie osoby ludzkiej przez pomaganie jej do należytego wprowadzenia w życie zasad i wartości religijnych i kulturalnych, wyznaczonych przez Stwórcę każdemu człowiekowi i całej ludzkości czy to wziętej jako całość, czy to wziętej też w jej naturalnych rozgałęzieniach" (Podstawowe zasady ładu w państwach, 1942). Tym naturalnym

dla naszej epoki rozgałęzieniem jest naród.

★

Można zarzucić współczesnej publicystyce narodowej, że obraca się koło pojęć dawno utartych, sformułowanych przez wybitnych myślicieli przed latami, że posługuje się definicjami nie należącymi wyłącznie do jednego kierunku. Prawda nie przestaje być prawdą dlatego, że ją ktoś dawno sformułował. A jednocześnie w tych znanych formułach kryje się wiele zagadnień dnia bieżącego, nowych aspektów, na które choćby w krótkości należy rzucić światło. Bo właśnie przeżywamy epokę, w której nastąpiła próba „odrywania polskości od Kościoła". Jesteśmy świadkami wielkiego zamachu na pojęcie narodu, dokonywanego przez używanie nomenklatury nacjonalistycznej dla pokrywania rzeczy, które z pojmowaniem narodu jako jedności psychicznej, powstałej historycznie, uwarstwowionej hierarchicznie, nie w sztywnej elicie, ale w elicie głębszego pojmowania obowiązku narodowego, nie godzą się.

To co dzieje się w Polsce pod naciskiem międzynarodowego bolszewizmu jest olbrzymim niebezpieczeństwem dla narodu. A z drugiej strony wierzymy w niespożyte siły narodu i obserwujemy, jak w najbardziej niesprzyjających warunkach broni się on przez utrzymywanie jedności narodowego czucia, jeśli nawet nie może wyrazić jednomyślności myślenia przez działanie. W konkretnej rzeczywistości widzimy niezwykłą doniosłość pojęć w dużej mierze przez nasz ruch w Polsce utrwalonych.

Teraz widzimy, jak niebezpieczną rzeczą byłoby kodyfikowanie narodowego odczuwania w wykończony w każdym szczególe system i utrwalanie go w „księgach świętych". Podstawy są te same, warunki są zupełnie inne. Postawa narodowa sprowadza się dziś dla większości naszych rodaków w kraju do czynnej postawy religijnej, połączonej z oświeconym wiarą patriotyzmem, który według Dmowskiego jest identyczny ze szlachetniej pojętym nacjonalizmem. Wyrażanie tej postawy przez politykę ograniczone jest warunkami rzeczywistości. Nam, „części narodu przeniesionego na obczyznę", pozostaje formułowanie bieżących zadań współczesnego ruchu narodowego.

★

W warunkach emigracyjnych szczególne niebezpieczeństwo stanowi wytworzenie się schizofrenii społecznej. Analizując chorobę psychiczną niedomogów wychowania moralno-politycznego w Polsce, Zygmunt Wasilewski zauważa: „Typowym zjawiskiem było rozszczepianie życia duchowego na dwa pasma: powszedniej rzeczywistości, wypranej na czysto z pierwiastka politycznego (szczególnie na punkcie odpowiedzialności) i czynności oderwanych, natury uczuciowo-patriotycznej, spalanej w marzeniu i cierpieniu. Szare życie szło zwykle w kierunku sprzecznym z tym drugim, idealnym, i nie tylko dlatego, że byli ludzie różnie żyjący; ono się kłóciło pasmami w tych samych jednostkach. Nie było skoordynowania między życiem górnym, a codziennością biologiczną. „Polityka" wtedy była rzeczą świąteczną".

★

Niemechanicznemu pojmowaniu narodu musi odpowiadać pojmowanie polityki narodowej. Swego czasu w „Zagadnieniach rządu" Dmowski wyraził myśl, że nie ma idealnego ustroju narodowego, choć jeszcze w „Myślach" formułował „państwo doskonałe, jako czuwające wyłącznie nad interesami narodu, jako wspólnymi interesami wszystkich składających go jednostek, państwo, w którym interesy wszystkich obywateli są jednakowo ochraniane, a ciężary równomiernie rozłożone". Stąd polityka narodowa przy zachowaniu zasad musi być empiryczna, elastyczna, niedoktrynalna.

„Nie ma recepty na ustrój narodowy — pisał prof. Bohdan Wasiutyński. Właśnie rozwój nacjonalizmu, w przeciwieństwie do liberalizmu i socjalizmu, wywołać musi większą różnolitość form ustrojowych, bo te odpowiadać muszą typowi duchowemu danego narodu, skoro źródłem władzy jest naród" („Myśl Narodowa", 1933). Zrozumienie potrzeb narodu jest wtedy możliwe, gdy się nad nim myśli, pracuje i z narodem czuje. Fantazjowanie i sypanie koncepcjami nie ma z tym nic wspólnego. Zdolność do myślenia narodowego tej części społeczeństwa, która do większych obowiązków się poczuwa, to dziś główne zadanie polityki narodowej. Aktualne stają się słowa wielkiego kapłana i jednocześnie polityka narodowego, ks. arcybp Teodorowicza: „W tych zwłaszcza chwilach przełomowych dla narodu wśród ciemności i świateł, wśród zawodów i nadziei, wśród trosk i radości, program unosi się ponad inne, a w jednym streszcza się słowie: Bądźcie sobą".

F. A. ARCISZEWSKI

PIERWSZE OSIEM DNI (2)

TRAGEDIA NIEKTÓRYCH DOWÓDCÓW*)

W CZASIE pierwszych ośmiu dni wojny około dziesięciu wyższych dowódców nie zachowało się tak, jakby się tego spodziewać należało. Nie mówimy tu o wypadkach mylnego dowodzenia, bo to należy do rozważań taktycznych, ale o osobistym zachowaniu dowódców wobec podległych im jednostek.

Omawiając te wypadki musimy jednak zaznaczyć pewne rozróżnienie. Podczas gdy każdy Polak ma prawo wyrazić imiennie swe podziękowanie każdemu o kim sądzi, że dobrze spełnił swój obowiązek, to potępienie imienne kogokolwiek o kim sądzimy, że obowiązku swego nie spełnił dość dobrze, nie należy do jednostek, lecz do sądów i do historii. Może się bowiem okazać, że materiał dowodowy zebrany dotąd przez komisję historyczną jest niekompletny i znajdą się jeszcze fakty uzasadniające czyjeś postępowanie. W następnych ustępach nie podajemy więc — jak poprzednio — nazwisk dowódców, o których sądzimy, że nie postąpili odpowiednio, zestawiamy natomiast fakty, podane przez komisję historyczną, podkreślając w ten sposób problem, z którego wyniknąć powinny wnioski. Tylko w wypadku dwóch dowódców armii, których nazwiska są i tak powszechnie znane, odstępujemy od tej zasady, zastrzegając się, że i w tych wypadkach dalsze badania historyczne ich postępowania są konieczne.

DOWÓDCY DYWIZJI

— Jedna z dywizji piechoty, która miała od dowódcy armii „Modlin" rozkaz stawiania oporu w rejonie na północ od Ciechanowa, nie wytrzymała

*) W numerze poprzednim, tytuł pierwszej części artykułu został błędnie wydrukowany. Tytuł poprawny brzmi: NAJWIĘKSZA KLĘSKA WOJENNA W DZIEJACH POLSKI.

po południu 3 września pierwszego swojego zetknięcia z siłami pancernynymi nieprzyjaciela. Wybuchła chwilowa panika, powodująca rozproszenie większości dywizji, jak i jej sztabu (45-50). Dowódca dywizji zebrał 4 września rano niewielką część swych wojsk w okolicach lasów opinogórskich, ale zamiast pozostać na miejscu, zbierać resztę i wrócić do nakazanego mu zadania taktycznego, ruszył z nią w kierunku Wisły. Gdy lotnictwo nieprzyjacielskie rozproszyło i tę kolumnę, odjechał on do 70 kilometrów odległego Płocka, pozostawiając rozproszoną dywizję za sobą (53).

— Dowódca sąsiedniej dywizji piechoty zrobił prawie to samo. Gdy po kilkodniowych ciężkich walkach, cofające się jego oddziały uległy silnemu bombardowaniu i nie zdołały zająć nakazanej lizjery lasu opinogórskiego, wydał on 4 września rozkaz dalszego odwrotu za Wisłę, sam zaś, wyprzedzając znacznie swe wojska, „udał się" do 65 kilometrów odległego Wyszogrodu, a o godz. 16.30 tego dnia był już w Modlinie w dowództwie armii (53, 54).

W konsekwencji obu wypadków dowódca armii „Modlin" meldował o godz. 16.30 do naczelnego dowództwa, że na razie nawet częściami tych dwóch dywizji nie dysponuje (55). Tymczasem jeden z dowódców pułków, pułkownik Sosabowski, którego dobrze prowadzony pułk nie uległ rozbiciu, gromadzi w tychże lasach opinogórskich większość oddziałów swojej i dużą część tej drugiej dywizji i po nawiązaniu łączności z dowództwem armii prowadzi je przez 4 dni spokojnie i wolno przez Płońsk aż do Modlina (szkic 4 i 20).

DOWÓDCY GRUP OPERACYJNYCH

— Dowódca jednej z grup operacyjnych, sprawujący dowództwo swojej dywizji piechoty i jeszcze jednej dywizji piechoty w okolicach Tucholi na Pomorzu, uzgodniwszy 1 września plan działania obu dywizji (76), wydał następnego dnia rano swojej dywizji rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela i wycofania w kierunku Bydgoszczy, nie powiadamiając o tym dowództwa drugiej dywizji. Od chwili wydania tego rozkazu nie ma już jakichkolwiek śladów starań z jego strony do objęcia z powrotem dowództwa nad grupą obu dywizji (84). Nie czeka on nawet na odmarsz oddziałów swojej dywizji, lecz sam, ze sztabem, jedzie do 45 km odległego Sopocina i Osielska pod Bydgoszczą.

— Dowódca sąsiedniej grupy operacyjnej składającej się z brygady kawalerii i kilku batalionów obrony narodowej, robi coś zupełnie podobnego. Uznawszy wieczorem 2 września, że dotąd obowiązujące go rozkazy stały się nieaktualne, zdecydował odejść z rejonu Tucholi na przedmoście Bydgoszczy. W razie niemożności przebicia się przez siły nieprzyjacielskie odcinające drogę na południe, zamierzał on przeprawić się przez Wisłę w rejonie Świecia. Po wydaniu tych rozkazów nie prowadzi on jednak swych wojsk w spodziewanej ciężkiej walce, lecz odjeżdża do 60 km oddalonej Bydgoszczy „celem zorientowania się jak sprawy stoją" (380).

Z wojsk obu tych pomorskich grup operacyjnych tylko szczątki dotarły do przedmościa Bydgoszczy. 18 batalionów, 11 szwadronów i 70 dział zostało odcięte na Pomorzu i walczyło nadal bohatersko pod dowództwem pułkownika Werobeja, o czym wspominaliśmy już poprzednio.

Dowódca armii „Pomorze" generał Bortnowski meldował potem do naczelnego dowództwa, że „wszystkie jednostki odcięte można uważać za stracone" (105). Nie wyciągnął on jednak konsekwencji w stosunku do obu dowódców grup operacyjnych, obwiniając natomiast siebie oddał swą osobę do dyspozycji naczelnego wodza (381). Obaj zaś dowódcy grup operacyjnych, którzy „wydostali się z okrążenia" (381) otrzymali wkrótce nowe zaszczytne przydziały. Jeden dowodził nadal swoją, uzupełnioną dywizją piechoty, drugi przebywał w sztabie armii, dowodząc częścią wojsk przedmościa Bydgoszczy (100). Potem ten drugi, „z własnej inicjatywy" (548), zjawił się aż w sztabie armii „Poznań" z prośbą o nowe dowództwo. I otrzymał nową grupę operacyjną (554).

DOWÓDCA ARMII I DWÓCH DOWÓDCÓW DYWIZJI

Sprawie „wycofania się" dowództwa armii „Łódź" i „utraty łączności z wojskami" poświęca Komisja Historyczna Sztabu Głównego cały rozdział XVII książki i osobny szkic 21 a.

— 6 września między godz. 5.30 a 6 rano sztab armii, stojący w Julianowie pod Łodzią, silnie i skutecznie zbombardowano. Centrala telefoniczna armii została obezwładniona. Powstało duże zamieszanie, po czym sztab armii znalazł się już o godz. 10 w o 85 kilometrów oddalonym Mszczonowie. Nawiązawszy tam łączność z naczelnym dowództwem redaguje generał Rómmel, dowódca armii — w myśl instrukcji naczelnego dowództwa — rozkaz wycofania armii nad Wisłę, ale rozkaz ten nie dochodzi do podległych mu wojsk. Po ponownym zbombardowaniu sztabu armii w Mszczonowie, sztab przenosi się wieczorem 6 września dalej na wschód, do leśniczówki i dworu Grzegorzewice (8 km), gdzie nie było już łączności z nikim (564-66). Wieczorem 7 września sztab armii posunął się do folwarku Łoś i do Grójca (dalsze 30 km na wschód), a nie mając tam znów z nikim łączności, ruszył przed świtem 8 września przez Warszawę do Kołbieli, położonej już na prawym brzegu Wisły między Otwockiem a Garwolinem, gdzie stanął jeszcze przed południem tego dnia. Około godz. 10-11 przybył generał Rómmel do Warszawy „w dobrej formie fizycznej i psychicznej" (569 i 768), na rozmowę z szefem sztabu głównego.

Postępując w ten sposób generał Rómmel, od chwili opuszczenia Julianowa, przestał dowodzić i pozostawił powierzoną mu armię, w najcięższych walkach, swojemu losowi.

Armia „Łódź" rozbiła się, pod wpływem działań nieprzyjacielskich, na dwie części. Wszystkie dywizje odczuwały już 6 września brak kierownictwa i dowódcy ich zaczęli postępować samodzielnie. Generał Thommée, dowódca grupy operacyjnej składającej się z dywizji piechoty i brygady kawalerii, dowiedział się o wyjeździe sztabu armii z Julianowa przypadkowo, już o godz. 8 rano tego dnia. Po bezskutecznych próbach nawiązania łączności z dowódcą armii, generał Thommée jako najstarszy stopniem objął 7 września dowództwo nad dalszymi dwiema dywizjami piechoty, polecając dowódcy jednej z nich objęcie dowództwa na podgrupą, składającą się z tych właśnie dwóch dywizji piechoty (584).

— Tak wyznaczony dowódca podgrupy objął to dowództwo (585), ale już 8 września o godz. 17 wezwał do siebie dowódcę piechoty dywizyjnej swojej dywizji i dał mu rozkaz prowadzenia dywizji w kierunku Góry Kalwarii, sam zaś jedzie do Warszawy i zabiera z sobą szefa sztabu dywizji i oficera operacyjnego. W rejonie Mszczonowa porzucono zepsuty samochód i po dwóch dniach wędrówki pieszej przeprawiono się na wschodni brzeg Wisły (589). Następnie zameldował się on w Warszawie u generała Rómmla.

— Dowódca drugiej dywizji ze wspomnianej podgrupy, nie mając w ciągu 8 września łączności ani z sąsiadującą z prawej strony dywizją, ani z przełożonym dowódcą podgrupy, odjeżdża również, wraz z szefem sztabu dywizji, pomocnikiem kwatermistrza i dowódcą łączności, na wschód i przestaje dowodzić. 9 września przejechał on przez Skierniewice i Warszawę i udał się „dalej na wschód" (588).

Osamotniony generał Thommée, jeżdżąc bez przerwy między dowództwami trzech dywizji piechoty i brygady kawalerii, podporządkował sobie do 8 września łącznie 23 bataliony, 27 szwadronów i przeszło 150 dział opuszczonych przez dowódcę armii i dwóch dowódców dywizji (592). Żołnierze byli przemęczeni fizycznie do ostat-

nich granic, ale ich stan moralny był wysoki i panował nastrój determinanacji oraz chęci do walki (592-93). Wojska te generał Thommée prowadził potem jeszcze przez kilka dni, aż do Modlina i Jabłonny.

Generał Rómmel, po rozmowie z szefem sztabu głównego w Warszawie, chciał zameldować się u naczelnego wodza, ale tego już w Warszawie nie było. Wówczas generał Stachiewicz (szef sztabu N. W.) zwrócił się do generała Rómmla, ażeby objął dowództwo nad obroną Wisły od ujścia Pilicy do Modlina i podporządkował mu także armię „Modlin" i generała Czumę, który dotąd bardzo sprawnie przygotowywał obronę Warszawy (770-71). A ponieważ równocześnie „wyjaśniło się" położenie armii „Łódź" i wiadomo było, że w rejonie lasów na północny-wschód od Brzezin znajdują się trzy dywizje piechoty i brygada kawalerii, nad którymi dowództwo sprawuje generał Thommée (773), więc generał Rómmel traktował i te wojska jako część składową swojej „grupy armii" (773-75). W ten sposób generał Rómmel, który opuścił był poprzednio swoje wojska, stał się dowódcą największej w czasie tej wojny „grupy armii".

DOWÓDCY: ARMII, GRUPY OPERACYJNEJ I DYWIZJI

— Generał Dąb-Biernacki był dowódcą armii odwodowej naczelnego wodza (tzw. armii „Prusy"), na którą składały się dwa ugrupowania po trzy dywizje piechoty i jedna brygada kawalerii. Grupa północna w rejonie Tomaszowa Mazowieckiego, grupa południowa w rejonie Radomia — Kamiennej. W czasie ciężkiej bitwy pod Piotrkowem 5 września dowodził on dywizjami ugrupowania północnego, będąc często osobiście wśród żołnierzy pierwszej linii obronnej. Na działania ugrupowania południowego nie wywierał on większego wpływu.

W bitwie pod Piotrkowem duże nieprzyjacielskie siły pancerne przedarły się na zachód od tego miasta w kierunku północno-wschodnim, a nasze ciężko skrwawione trzy dywizje piechoty i brygada kawalerii zostały odrzucone w kierunku wschodnim. 6 września o godz. 21 wydaje dowódca armii rozkaz skoncentrowania rozbitych i częściowo pomieszanych jednostek tych trzech dywizji w rejonie na południe od Tomaszowa i w myśl instrukcji naczelnego dowództwa wycofania się za Wisłę przez most w Maciejowicach. Jednocześnie wydaje on dywizjom ugrupowania południowego rozkaz odwrotu przez mosty w Puławach i w Dęblinie (621).

Wydawszy te rozkazy nie prowadzi jednak generał Dąb-Biernacki swych wojsk tak, jak to czynili generałowie Thommée i Szylling, lecz odjeżdża od nich, a wykonanie 100-kilometrowego odwrotu w ciągłym kontakcie z nieprzyjacielem pozostawia dowódcom podwładnym. Wieczorem tego dnia sztab armii osiąga dwór Brzostowiec (40 km na wschód od Tomaszowa), gdzie nie było łączności ani z wojskami podwładnymi, ani z Warszawą, ani z sąsiadami (624). W godzinach porannych następnego dnia zjawili się w sztabie armii dwaj dowódcy dywizji z prośbą o dalsze rozkazy. Ale otrzymali tylko lakoniczną dyrektywę: maszerować jak najprędzej za Wisłę przez most w Maciejowicach (642). Tego samego dnia przed południem kazał dowódca armii przesunąć swój sztab do rejonu Zwolenia pod Radomiem, a po kilkogodzinnym pobycie w tym miejscu postoju do rejonu Puław, za Wisłę (625).

W czasie odwrotu, tak przez dowódce armii zorganizowanego, wdarły się siły nieprzyjacielskie między ugrupowanie północne i południowe, a także okrążyły ugrupowanie południowe od południa. Doszło do bardzo ciężkich walk, po których dalszy odwrót ugrupowania północnego „odbywał się już w warunkach rozpaczliwych. Wojsko było przemęczone i głodne, maszerowało bez map po leśnych bezdrożach, kolumny rwały się, oddziały mieszały się i gubiły; nastrój był fatalny..." (631).

— Teoretyczny dowódca jednej z grup operacyjnych ugrupowania północnego, który faktycznie dowodził tylko brygadą kawalerii (617), wydawszy 8 września rano tej brygadzie „rozkaz opóźniania nieprzyjaciela wzdłuż szosy Radom — Kozienice, sam wycofał się (ze sztabem) za Wisłę do rejonu Maciejowic. W nocy z 8 na 9 września zetknął się tam z generałem Dębem Biernackim i po rozmowie z nim powziął samodzielną (!) decyzję udania się osobiście do naczelnego wodza z raportem o klęsce armii „Prusy" (tj. armii odwodowej)... i odjechał (wraz ze sztabem) do Brześcia nad Bugiem" (632).

— Gdy 8 września Niemcy napadli na drodze oddziały polskie przy szosie Skarżysko—Szydłowiec i zepchnęli je na wschód i na północ, dowódca jednej z dywizji, który się tam właśnie znajdował, uważając, że został odcięty od swych pułków postanowił udać się (samochodem) wraz z kwatermistrzem dywizji do dowództwa grupy operacyjnej, w okolicę Iłży (27 km). Dowiedziawszy się pod Starosiedlicami od ludności cywilnej jakoby Iłża była zajęta (co nie było prawdziwe) zwrócił się na Radom, a dowiedziawszy się, że i tam są Niemcy „przemknął się" (pustą szosą) przez Zwoleń i Puławy do Kurowa położonego już na prawym brzegu Wisły, między Puławami a Lublinem (650).

„Na tyłach niemieckich pozostało (z ugrupowania północnego armii odwodowej) w zwartych formacjach 9 batalionów, 5 szwadronów i 35 dział, z czego 5 batalionów i 15 dział zgrupowało się w ciągu 8 września pod dowództwem podpułkownika Kruk-Śmigli..." (633).

Ugrupowanie południowe armii odwodowej, składające się 7 września jeszcze z 18 batalionów i 13 baterii, prowadzone przez dowódcę grupy operacyjnej generała Skwarczyńskiego, zostało 8 września odcięte od Wisły (641). Doszło do ciężkiego boju pod Iłżą, w którym grupa straciła jedną dywizję, a z pozostałych dwóch jedna poniosła duże straty (651).

Natomiast na *wschodnim* brzegu Wisły znajdował się w nocy z 8 na 9 września już szereg dowódców i sztabów ze składu armii odwodowej: wszystkie trzy rzuty sztabu armii stały w rejonie Puławy — Markuszów, sztab jednej grupy operacyjnej pod Borysowem, sztab drugiej grupy operacyjnej w Podzamczu pod Maciejowicami, cofnięty rzut sztabu grupy operacyjnej generała Skwarczyńskiego w rejonie Opola; dowódca jednej z dywizji ugrupowania południowego z częścią swego sztabu w Opolu, a ranny dowódca jednej z dywizji ugrupowania północnego, wraz ze sztabem, w Dęblinie (663).

JAKIE POWODY ZJAWISKA?

Z tych dziesięciu jaskrawych wypadków, podanych w dziele Komisji Historycznej Sztabu Głównego, a zestawionych przez nas, z największą przykrością, w jeden szereg, powinny następne pokolenia dowódców polskich wyciągnąć naukę — przez przeciwstawienie — pożyteczną.

Dowódca armii „Karpaty" generał Fabrycy oddał jednego z dowódców pułków pod sąd wojenny za to, że opuścił swój pułk i udał się, wraz z dowódcą jednego z batalionów, do dowództwa dywizji (713). O żadnym takim lub chociażby podobnym zarządzeniu nie czytamy odnośnie dowódców dywizji, grup operacyjnych lub armii, którzy odjechali od swych wojsk. Dlaczego stosowano inną miarę, w zależności od stanowiska? Dowódca dywizji lub dowódca armii jest przecież taką samą nierozłączną częścią swej jednostki jak dowódca pułku i powinien tak samo dzielić los swych żołnierzy aż do ostateczności. Ci dowódcy, o których wspomnieliśmy powyżej, nie czuli się chyba częścią krwi i kości swoich żołnierzy.

Niektórzy z nich robią wrażenie jakby opuszczali swe jednostki parami. Dwóch dowódców sąsiadujących

z sobą dywizji piechoty w armii „Modlin" i dwóch dowódców sąsiadujących z sobą grup operacyjnych w armii „Pomorze". Dwóch zaś dowódców sąsiadujących z sobą dywizji piechoty w armii „Łódź" i jeden dowódca grupy operacyjnej w armii odwodowej robią wrażenie jakby naśladowali postępowanie swoich dowódców armii.

Większość spośród tych dowódców walczyła w pierwszych kilku dniach kampanii wrześniowej dzielnie, aż do chwili otrzymania pierwszej zapowiedzi odwrotu na nowe dość odległe pozycje. Wówczas wydają oni swym wojskom rozkazy odwrotu, sami zaś jadą natychmiast na nowe miejsce postoju i tracą, z powodu działań nieprzyjacielskich, łączność ze swymi wojskami. Widzimy tutaj skutki jakichś zasadniczych błędów w przedwojennym szkoleniu tych dowódców i w organizacji dowodzenia w czasie wojny.

Odwrót jest niewątpliwie taką samą operacją wojenną jak natarcie, z tym jednak, że gdy odwrót odbywa się pod naciskiem nieprzyjaciela rozporządzającego kawalerią lub czołgami, staje się operacją o wiele trudniejszą niż natarcie. Gdy dowódca wyższy wyznacza tylko cel odwrotu, odległy o kilka dni marszu, a potem odjeżdża i wykonanie pozostawia dowódcom niższym, postępuje tak jakby w natarciu wyznaczył tylko cel np. 80-kilometrowy, nie troszcząc się o przebieg walki. Podczas gdy jednak w natarciu ryzykowałby tylko niepowodzenie i może duże straty, to w odwrocie ryzykuje rozkład i zupełne zniszczenie swej jednostki.

Gdy zaś dowódca straci z powodu działań wojennych łączność z podwładnymi oddziałami z powodu działań nieprzyjacielskich, powinien dążyć do swych wojsk, a nie do wyższego dowództwa. Dobry dowódca spieszy zawsze na miejsce zagrożenia, jak dobry administrator w czasie klęsk żywiołowych. W razie zaś katastrofy całej swej jednostki powinien się zachować, jak kapitan tonącego okrętu. Zasada ta niestety nie jest jeszcze w wojskach lądowych tak tradycyjna, jak w marynarce wojennej lub nawet handlowej.

We wszystkich wojskach współczesnych miejsce pobytu dowódcy w czasie natarcia względnie odwrotu jest ustalone. W natarciu na przodzie, w odwrocie przy końcu. Otóż znamienne jest, że w natarciu nasi generałowie sprawowali swe obowiązki na ogół zgodnie z tą zasadą. Co się w każdym z nich zmieniło w chwili otrzymania rozkazu odwrotu na nowe, odległe pozycje? Wszyscy bez wyjątku dowódcy kampanii wrześniowej, od naczelnego wodza aż do dowódców pułków włącznie, byli przecież oficerami z doświadczeniem wojennym czteroletniej wojny światowej 1914-18 r. i dwuletniej wojny polsko-bolszewickiej 1918-20 r., którzy wiedzieli, jak dalece każdy odwrót działa demoralizująco. Dlaczego więc pozostawiali swe wojska, w ciężkim kontakcie z nieprzyjacielem, dowódcom podwładnym, a sami odjeżdżali (zwykle ze sztabem) o 40 do 100 kilometrów od nich? Co myślał sobie np. generał Rómmel, gdy po utracie łączności ze swymi wojskami oddalał się od nich — za Wisłę?

A co powiedzieliby np. premier Churchill i parlament brytyjski, gdyby tak dowódca korpusu ekspedycyjnego pod Dunkierką generał Gort, wsiadł „z własnej inicjatywy" i „wraz ze swym sztabem" zaraz po otrzymaniu rozkazu ewakuacyjnego na okręt i odpłynął do Londynu? Czy dostałby zaraz nowe dowództwo? Faktycznie generał Gort pozostał w Dunkierce aż do zaokrętowania ostatniego swego pułku.

Powodów nieodpowiedniego zachowania się niektórych dowódców w czasie odwrotu nie należy więc szukać w braku doświadczenia wojennego. Wina leży przede wszystkim w braku jakichkolwiek planów operacyjnych naczelnego wodza na drugą fazę walk i stąd niepewności dowódców co dalej robić, w braku systematycznego fachowego wyszkolenia kilku generałów samouków, zajmujących najwyższe stanowiska dowódcze i nie umiejących wyszkolić dowódców niższych, w braku intensywnego szkolenia całości wojsk polskich w zadaniach defensywnych i przesadnym szkoleniu w ofensywie, wreszcie w niedocenianiu przez najwyższe władze państwowe zagrożenia niemieckiego, a co za tym idzie niedostatecznym szkoleniu wojska w walce z masami czołgów.

ORGANIZACJA DOWODZENIA

Powodem dodatkowym był przyjęty przez naczelnego wodza system dowodzenia. Czytelnika omawianego dzieła historycznego uderzyć musi ciągłe i bezustanne wtrącanie się naczelnego dowództwa do szczegółów wykonawczych na szczeblu dywizji lub brygady. Zamiast dać armiom myśl manewru naczelnego wodza, której jak wiadomo dowódcy armii nie znali, naczelne dowództwo improwizuje bezustannie drobne zarządzenia w stosunku do wielkich jednostek będących na froncie. Jest to oczywiście skutek, wspomnianego poprzednio braku jakichkolwiek planów naczelnego wodza na drugą fazę wojny. Toteż prawie wszyscy dowódcy armii codziennie zapytują w niezliczonych rozmowach juzowych, co dalej robić. To samo robią dowódcy grup operacyjnych i dowódcy dywizji w stosunku do dowódców armii. Aż ostatecznie niektórzy z nich się załamują i decydują jechać do wyższego dowództwa, aby się dowiedzieć, „jak sprawy stoją".

Do tego dochodzi jeszcze przyjęty w Polsce przed wojną system dowodzenia za pomocą tzw. grup operacyjnych, zamiast dowództw korpusów. Na przyjęcie tego systemu wpłynęła niewątpliwie tradycja po marszałku Piłsudskim, który dowództw korpusów w czasie wojny nie uznawał, a w czasie pokojowym sprowadził dowództwa okręgów korpusów do roli administracyjnej. Nazywało się, że system grup operacyjnych jest w czasie walki bardziej sprężysty.

W kampanii wrześniowej widzimy więc szereg dowódców grup operacyjnych. Jedni dowodzili dwiema dywizjami piechoty, inni dywizją piechoty i brygadą kawalerii, inni znów dywizją lub brygadą i kilkoma batalionami obrony narodowej etc.

W czasie walk naczelne dowództwo i niektórzy dowódcy armii obszernie korzystali ze sprężystości tego systemu. Przerzucanie jednostek z jednej grupy operacyjnej do drugiej, formowanie i rozwiązywanie nowych grup operacyjnych, tworzenie nowych dowództw armii bez dania im sztabów i środków łączności, było objawem tak częstym, że zamiast ułatwienia dowodzenia stało się, zwłaszcza dla podwładnych, wielkim utrudnieniem.

Większości tych kłopotów można było uniknąć przez zmobilizowanie np. dziesięciu normalnych dowództw korpusów, z własnymi sztabami, własnymi środkami łączności i niektórymi własnymi służbami, jak to robiły wszystkie inne armie europejskie.

Oprócz utrudnień w dowodzeniu spowodował system grup operacyjnych także kłopoty natury moralnej. System bowiem, w którym dany generał dowodzi zmieniającymi się często jednostkami nie wiąże go dość mocno z podwładnymi. Dowódca grupy nie czuje, że jest częścią krwi i kości wszystkich swych podwładnych. Tego samego nie czują dowódcy jednostek świeżo przydzielonych do niego. Aby się zrośli, muszą jakiś czas dzielić wspólną dolę i niedolę. I tylko tak mocno zrośnięty ze swymi oddziałami dowódca zachowa się w chwili krytycznej, jak kapitan tonącego okrętu. Nie opuści go pierwszy z całej załogi.

System grup operacyjnych, który był dobry podczas mało ruchliwych walk okopowych we Francji w pierwszej wojnie światowej, zarówno w defensywie i w ofensywie, nie dał dobrych wyników w czasie bardzo ruchowej kampanii wrześniowej. Być może przyczynił się też w pewnym stopniu do tragedii osobistej niektórych z poprzednio wymienionych dowódców.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

SYSTEM STRACHU I NĘDZY

Antoni Ekart: VANISHED WITHOUT TRACE. The story of seven years in Soviet Russia. Max Parrish. Londyn 1954. Stron 320.

Od czasu do czasu pojawiają się opisy życia w Rosji Sowieckiej pióra ludzi, którym udało się uciec z tego „raju proletariatu". Książki Polaków mają tę wyższość nad opisami autorów rosyjskich, że oceniają zjawisko świata sowieckiego przez pryzmat psychologii oraz wartości i zasad moralnych Zachodu, co oczywiście tym sprawozdaniom nadaje bardziej określone kontury i czytelnikowi zachodniemu ułatwia zrozumienie opowiadanych zjawisk i procesów.

Książka Antoniego Ekarta, świeżo wydana, jest sumiennym i wartościowym dokumentem przeżyć człowieka niewinnego, skazanego na siedem i pół lat niewoli. Z jej kart poznajemy świat rosyjskiego komunizmu w codziennych potwornych przejawach. Autor pytał w rozmowie z inteligentnym Rosjaninem, zdecydowanym przeciwnikiem komunizmu: „Nie mogę zrozumieć, jak ludzie żyjący w ciągłej obawie i nędzy mogą pracować, odpoczywać, a nawet zabawiać się idąc do kina czy teatru". Odpowiedź brzmiała: „Życie jest silniejsze od wszelkiej nędzy... Człowiek może przyzwyczaić się do wszystkiego, jeśli tylko jego potrzeby minimalne są zaspokojone. I nie wolno panu przy tym zapominać, iż większość narodu sowieckiego wzrosła pod tym systemem i nie zna żadnego innego".

Ekart w ciągu długiego pobytu w Rosji, przeważnie w obozach, ale i na wolności (wskutek „amnestii" w wyniku umowy Sikorski — Stalin) miał sposobność zetknięcia się z mnóstwem Rosjan różnych szczebli społecznych i przekonań politycznych. Książka Ekarta, który notował te rozmowy tak, jak się odbywały, to znaczy bez wprowadzania jakiegoś planu czy systemu, bez porządkowania ich w zależności od tematu, stanowi kopalnię wiadomości z najrozmaitszych dziedzin życia.

Z rozmów z archimandrytą Serafinem autor dowiedział się, że reżim sowiecki „zlikwidował" niemal całe duchowieństwo prawosławne. Gdy w czasie wojny nastąpiło pewne złagodzenie polityki wobec Cerkwi prawosławnej, rząd sowiecki mianował nowego patriarchę, choć dawny jeszcze żył. Pozostali przy życiu duchowni w znacznej większości odmówili uznania nowego patriarchy i poddani zostali dalszym prześladowaniom. Komuniści mianowali nowych popów, w rzeczywistości agentów NKWD, którzy tajemnicy spowiedzi nie respektują i tą drogą zbierają informacje.

Warto przytoczyć obliczenie pewnego Polaka — Krajewskiego, którego ojciec był zesłańcem politycznym na Syberii. Za czasów sowieckich w jednej prowincji (Iwanowo) było dziesięć razy tyle więźniów politycznych, co w całej Syberii za czasów carstwa. Co roku umiera ich więcej, niż carowie skazali na śmierć w ciągu ostatnich 300 lat. Liczba umieszczonych w obozach pracy w czasie wojny, według wiarogodnych źródeł, przekraczała 25 milionów.

Autor wymienia szereg osób z najwyższego świata komunistycznego, które spotkał w obozach, np. synową marsz. Szaposznikowa, córkę marsz. Tuchaczewskiego, płk Jakowlewa, wybitnego eksperta artyleryjskiego i b. wykładowcę akademii wojennej, Kaplera, publicystę i producenta filmowego, którego przyjaźń z córką Stalina Świetlaną stała się przyczyną jego zesłania oraz wielu innych.

Autor zawdzięczał powrót do Polski interwencji swej żony u władz warszawskich. Później udało mu się uciec do Szwecji, gdzie obecnie przebywa.

(m. ost.)

AMERYKAŃSKIE POLONICA

Journal of Central European Affairs. Vol. XIV. Colorado. January 1955.

Nowy tom amerykańskiego czasopisma naukowego poświęconego Europie środkowej przynosi sporo poloniców.

Gerhard Weiberg omawia sprawę rozpatrywanego rzekomo przez nasz MZS projektu prof. Studnickiego kompromisu w sprawie Gdańska, polegającego na podziale terytorium Wolnego Miasta wzdłuż Leniwki. Przy tej okazji autor wykazuje, że Niemcy nie chcieli iść na żadne kompromisy z Polską, zdecydowani od początku 1939 r. na wojnę. Kazimierz Grzybowski przedstawia sowiecką doktrynę mórz zamkniętych i politykę sowiecką na Bałtyku i Morzu Czarnym. Elżbieta Valkenier daje interesujący przegląd stosunku grup emigracyjnych poszczególnych narodów środkowo-europejskich do projektów federacyjnych. Autorka stwierdza zasadnicze sprzeczności między koncepcją polskich federalistów szerokiego związku zarazem przeciwniemieckiego i przeciwrosyjskiego, a koncepcją federalistów węgierskich, która jest niczym innym jak projektem odtworzenia monarchii naddunajskiej. Na koncepcję polską częściowo idą niektórzy Czesi, na węgierską właściwie nikt. Separatyści chorwaccy i słowaccy oglądają się na Niemcy. Inni nie chcą żadnej federacji środkowo-europejskiej. W recenzjach omówiono bardzo krytycznie pseudohistoryczny paszkwil Louisa Gersona „Woodrow Wilson i odrodzenie Polski". Książka ta czy raczej broszura, poświęcona jest tezie, że odbudowanie państwa polskiego było wielkim błędem polityki Wilsona. Recenzent wykazuje, że autor pominął najważniejsze źródła. Omówiono także pracę Brygidy Kurbisówny „Studia nad Kroniką Wielkopolską", wydaną w Poznaniu w r. 1952.

HISTORYKA PROF. KOŚCIAŁKOWSKIEGO

Stanisław Kościałkowski: HISTORYKA (Streszczenie wykładów na P.U.N.O.). Londyn 1955.

Książka profesora Kościałkowskiego jest wykładem wstępu do nauki historii. Omawia ona nauki pomocnicze historii, źródła i zasady ich interpretacji, metodę opracowywania zagadnień historycznych.

Wykład nie jest teoretyczny, jak np. „Historyka" prof. Handelsmana, lecz praktyczny, typu proseminaryjnego. Wielka ilość przykładów, częściowo odtworzonych z pamięci, nadaje mu konkretność. Przykłady są przeważnie z historii polskiej. Szczególnie cenne wydają się być zasady prawidłowej interpretacji źródeł. Dla współczesnego studenta pomocne bardzo są wykazy wydawnictw encyklopedycznych.

Książka może być interesująca nie tylko dla początkujących historyków, ale dla każdego człowieka, który pragnie się dowiedzieć, na czym polega nauka historii i jakie metody są jej właściwe, a także jakie są granice między publicystyką i essayem, a pracą naukową w dziedzinie historii.

Prof. Kościałkowski podaje informację, że śp. prof. Władysław Konopczyński opracował podczas wojny obszerną historykę, która wycofana została już w czasie druku ze względu na swoją sprzeczność z doktryną komunistyczną, której to sprzeczności Konopczyński nie zgodził się usunąć. Komunizm wypacza nie tylko treść, ale i samą metodę badań historycznych.

NADESŁANE

Polska Macierz Szkolna. 3 MAJ. Londyn 1955. Stron 52. Nuty i ilustracje w tekście.

Dziewiąta, tradycyjna jednodniówka materiałów i tekstów do obchodu rocznicy konstytucji majowej. W ciągu siedmiu lat broszurka wydawana była staraniem Funduszu Oświaty Polskiej Zagranicą. W ubiegłym roku

Polska Macierz Szkolna wzięła udział w tej pracy. Wobec rozwoju organizacji Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą, przejęła ona w bieżącym roku trud i obowiązek organizacji zbiórki na Dar Narodowy 3 Maja, przeznaczonej na polską oświatę szkolną i przedszkolną.

Tadeusz Kęsik: CZAS ODKUPIONY. Wiersze. Rzym 1954. Stron 35.

Zbiór 17 wierszy religijnych, głównie lirycznych, odznaczających się głębokim przemyśleniem i przeżyciem tematyki. Pisane w Polsce, Anglii i we Włoszech. Wydano na prawie rękopisu z imprimatur kościelnym.

Z. J. Daszewski: O FREUDZIE I EINSTEINIE JAKO OSZUSTACH W NAUCE. American Publishing Co., Perth Amboy, N. J. 1955. Stron 69. Cena 9/-.

50 NUMER „PRZEGLĄDU ZACHODNIEGO"

PRZEGLĄD ZACHODNI. Miesięcznik Związku Polskich Ziem Zachodnich. Londyn, marzec 1955. Rok VI. Nr 3/50. Stron 40. Numer jubileuszowy.

Głównym celem pisma jest zaznajamianie społeczeństwa polskiego z zagadnieniami ziem zachodnich, odpieranie ataków niemieckich na granicę na Odrze i Nysie, naświetlanie problemów polsko-niemieckich oraz problemów wyłącznie niemieckich. Numer jubileuszowy pięćdziesiąty przynosi szereg artykułów na te tematy, przegląd prasy, recenzje, bogatą kronikę, wiadomości agencyjne oraz dział spraw organizacyjnych. Redaktorem pisma jest p. Paweł Hęciak.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

ZEBRANIA I ODCZYTY

W Nottinghamie odbyło się 3 kwietnia zakończenie kursu kandydackiego Stronnictwa Narodowego. Referat polityczny wygłosił i odebrał ślubowanie od nowoprzyjętych członków SN p. J. Rożdżyński z brytyjskiego Wydziału Wykonawczego. Zebraniu przewodniczył kierownik miejscowego Koła p. E. Przetakiewicz. Po zebraniu urządzono lampkę wina.

ZALEGANIE Z PRENUMERATĄ POWODUJE WSTRZYMANIE WYSYŁKI

KOMITETY I SKARBY JEDNOŚCI W AMERYCE

„Głos Jedności Narodowej", organ Komitetu Jedności Narodowej w Detroit podaje:

„W chwili obecnej pełną organizację akcji na rzecz Jedności Narodowej — to znaczy zarówno ośrodek działalności politycznej w postaci Komitetów Jedności jak i działalności skarbowej — posiadają: Boston, Buffalo, Chicago i Detroit. Komitety Jedności znajdują się w Lackawanna, N.Y., Syracuse, N.Y., Toledo, O., Perth Amboy, N.J., Newark, N.J. i Milwaukee, Wis. W Lawrence, Mass. i Passaic, N.J. znajdują się Komitety Skarbu Narodowego popierające Jedność Narodową, w Nowym Jorku od trzech miesięcy działa Komisja Organizacyjna Komitetu Skarbu Jedności Narodowej".

W sumie już trzynaście miejscowości. Ten sam numer „Głosu" z 27 marca pisze na innym miejscu:

„Walne zebranie Komitetu Skarbu Narodowego w New Jersey uchwaliło hasło: „Przez Skarb Narodowy do Zjednoczenia Narodowego". Prezes Komitetu Skarbu Narodowego w New Jersey ks. prałat Kowalczyk jest wierny temu hasłu".

ISKRA II

Zakupiony przez Samopomoc Marynarki Wojennej, przy wydatnej pomocy Admiralicji Brytyjskiej, poniemiecki oceaniczny jacht wyścigowy wyjdzie w morze pod polską banderą już w przyszłym miesiącu. Jacht nazwany został Iskra II, posiada 10 ton wyporności, 50 metrów żagla i pomocniczy motorek oraz 6 miejsc dla załogi. Instruktorem będzie kmdr Sajfert, znany żeglarz w Polsce przedwojennej.

Dziesiąty kolejny zjazd Samopomocy Marynarki obradował przed paru tygodniami w Londynie w siedzibie własnej. Prezesem nowego zarządu wybrano po raz szósty p. W. Nadratowskiego.

KONKURS WIERSZYKOWY

Polska Macierz Szkolna Zagranicą oraz Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" ogłaszają konkurs na zbiór wierszyków dla małych dzieci. Zamiarem inicjatorów jest danie polskim rodzicom i wychowawcom pomocy w postaci krótkich wierszyków dla małych dzieci, w rodzaju popularnych w Anglii tzw. nursery rhymes.

Warunki konkursu: 1) Osoby, które pragną wziąć udział w konkursie zechcą zwrócić się po szczegółowe warunki pod adresem: K.O.W. „Veritas", 12, Praed Mews, London, W. 2, England, nadsyłając z Wielkiej Brytanii zaadresowaną i ofrankowaną kopertę, z Europy dokładny adres i międzynarodowy kupon pocztowy, z krajów zamorskich adres i także kupon na list lotniczy. 2) Polska Macierz Szkolna Zagranicą oraz Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" przeznaczają trzy nagrody w wysokości £ 25, 15 i 10. Prace drukowane będą ponadto honorowane według osobnej umowy. 3) Termin nadsyłania prac do dnia 30 czerwca 1955 r.

ZBIERAMY WIERSZE DLA DZIECI

Otrzymaliśmy następujący komunikat:

Polska Macierz Szkolna Zagranicą oraz Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", pragnąc uratować od zapomnienia i zaginięcia wiele dobrych wierszy dla dzieci i młodzieży i mając zamiar wydać je w nowych zbiorkach i książkach, zwracają się do Rodaków rozsianych w tylu krajach całego świata, aby zechcieli pod ich adresem nadsyłać wiersze dla dzieci i młodzieży czy to odtworzone z pamięci, czy też odpisane z dziś już rzadkich i dla ogółu niedostępnych książek. Pożądane jest podanie autora (ki), tytułu zbioru lub książki, miejsca i roku jej wydania itp. O ile to tylko możliwe, prosimy o pisanie z dużymi odstępami na maszynie lub też wyraźnym pismem ręcznym. Za zwrot ewentualnie wypożyczonych książek ręczymy.

Za najbardziej wartościowe utwory, które wykorzystamy w nowych książkach dla dzieci i młodzieży, wyślemy nadsyłającym nagrody w postaci książek.

Wiersze należy nadsyłać pod adresem: Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", 12, Praed Mews, London, W. 2, England. Na przesyłce w lewym dolnym rogu należy napisać: Wiersze dla dzieci.

ZBIÓRKA NA HARCERSTWO

Jak co roku, Związek Harcerstwa Polskiego zwraca się do całego wychodźstwa z apelem o pomoc w zebraniu funduszy na cele wychowawcze. Dary należy przesyłać pod adresem: Fundusz Polskiej Młodzieży Harcerskiej, 47, Rutland Gate, London. S. W. 7, England; czeki, money ordery i postal ordery należy wystawiać na: „Polish Boy Scouts and Girl Guides Association".

Zeszłoroczna zbiórka na Fundusz Polskiej Młodzieży Harcerskiej przyniosła 395.18.6 funtów. Koszty administracyjne zbiórki wyniosły £ 70.3.11. Pozostałość w sumie £ 325.14.7 wydatkowano: na obozy letnie £ 240, pomoc terenom £ 36, wydawnictwa młodzieży £ 49.14.7.

Listy do Redakcji

SPECYFICZNA PAMIĘĆ

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeszło miesiąc temu przesłałem do „Dziennika Polskiego" list. Wobec niewydrukowania go do tej pory, proszę o zamieszczenie w „Myśli Polskiej". List był treści następującej:

W rocznicę strajku szkolnego (Dziennik z 1.3.55) ukazało się sprawozdanie z odczytu p. Libickiego, w którym m.i. czytamy: Ruch ten był zorganizowany przez tajne organizacje niepodległościowe młodzieży i spotkał się z niechęcią części rodziców i pewnych stronnictw jak np. Stronnictwa Narodowego, które nazwało strajk „samobójstwem narodowym".

Pomijam mało ważne tutaj, iż nazwa ówczesnego stronnictwa była Demokratyczno-Narodowe. Pragnę jednak w imię prawdy historycznej sprostować to twierdzenie. Nie będę powoływać się na dawno wydane „Dzieje polskiej myśli politycznej" W. Feldmana ani na „Gławnyje tieczenja polskoj mysli politycznej" A. L. Pogodina. Wystarczą mi dwa powojenne opracowania tego okresu.

Tak więc dr H. Wereszycki w swej „Historii Polski 1864—1918", Warszawa 1948, pisze: „Liga Narodowa zaznaczyła swą inicjatywę przez rozpoczęcie jeszcze w r. 1904 akcji na rzecz wprowadzenia języka polskiego, jako urzędowego w gminach ... Drugą akcją, prowadzoną przez Ligę, był strajk szkolny; wybuchł on wprawdzie z inicjatywy socjalistycznej, gdyż uczniowie warszawskich szkół średnich solidaryzowali się ze strajkiem powszechnym i opuścili szkoły, ale organizacje młodzieżowe podporządkowane Lidze rychło ten ruch strajkowy opanowały i kierowały nim przez długi czas. Stworzono nawet specjalną organizację, „Związek Unarodowienia Szkół", który akcję prowadził".

A u Poboga-Malinowskiego w „Najnowszej historii politycznej Polski" czytamy: „Liga ... zaczyna strajk popierać, tworząc w oparciu o własną organizację młodzieżową Związek Unarodowienia Szkół i starając się przez niego zapanować nad wzburzonymi umysłami młodzieży".

Te dwa przykłady, pochodzące od zdecydowanych przeciwników Stronnictwa Narodowego, wykazują chyba dostatecznie bezpodstawność twierdzenia p. Libickiego.

Akcja polityczna zaś polegała na tym, aby odruchowemu i żywiołowemu wystąpieniu młodzieży nadać cechy rozsądnej i uporządkowanej akcji politycznej, mogącej swój skutek osiągnąć. Że tego czasem nie rozumieli bardzo młodzi ludzie, trudno się im dziwić; a że niektórzy z nich nie zrewidowali swych pojęć i nadal myślą kategoriami piętnastolatków, zrozumieć trudniej!

W okresie tak zwanej reakcji stołypinowskiej, kiedy widoki powodzenia tej akcji ustały, przeciw przedłużaniu strajku byli wszyscy niemal poważniejsi ludzie, z Henrykiem Sienkiewiczem, Bolesławem Prusem i arcybiskupem Popielem na czele. Nie z braku patriotyzmu na pewno!

Co do wspomnień osobistych p. Libickiego, wymieniających wśród organizatorów strajku w Częstochowie generałów Dreszerów i Januszajtisa, niech mi będzie wolno przytoczyć słowa tego ostatniego, zamieszczone w 1939 r. w „Warszawskim Dzienniku Narodowym": „Imię Romana Dmowskiego poznałem wraz z hasłem bojkotu szkolnego w r. 1905. Potem w „Organizacji Młodzieży Narodowej", „Pecie" częstochowskim i „Zecie" lwowskim żywiłem młodą duszę „Myślami nowoczesnego Polaka" i artykułami „Przeglądu Wszechpolskiego". Wspominam gorąco te czasy, gdym w gronie bliskich towarzyszy (między nimi był późniejszy generał W.P., śp. Gustaw Orlicz-Dreszer) przemycał paki „Polaka" do Częstochowy z pobliskiej pruskiej granicy".

P. Libicki skarżył się na brak źródeł. Obawiam się, że wcale do nich nie zaglądał, polegając na zabarwionej w specyficzny sposób pamięci. A szkoda.

Łączę wyrazy poważania,

J. Płoski

Londyn

CO MAM ODPOWIEDZIEĆ SYNOWI ...

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką uwagą śledzę wypowiedzi w kwestii wyrzeczenia się obywatelstwa polskiego czy przyjmowania obywatelstwa kraju pobytu, omawiane w kilku ostatnich numerach „Myśli Polskiej".

Problem ten toczy wszystkie środowiska emigracyjne, nie wyłączając naszego polskiego. Jest to zrozumiałe i nie da się tego uniknąć. Słabeusze odpadają od szeregów, rychlej czy później. Nota bene mówiąc, im szybciej tym lepiej. Ale żeby dyskusja w tej sprawie drażliwej, przybrała formy wyraźnego propagowania zmiany obywatelstwa, tegom się nie spodziewał (niektóre wypowiedzi).

Jestem wychodźcą, robotnikiem rolnym, synem małorolnego chłopa w Polsce przedwojennej i jeżeli zabieram głos w tej sprawie to dlatego, że oblewa mnie rumieniec upokorzenia, iż mogą się znaleźć Polacy — wychodźcy polityczni, którzy z tak lekkim sercem, dla lepszego zarobku, kariery (wątpliwej), bez uprzedniego przeanalizowania własnego sumienia, mogą kłaść swój podpis pod te niczym nie uzasadnione wypowiedzi.

„Wszystko co polskie jest moje: — pisze Roman Dmowski w „Myślach nowoczesnego Polaka" — niczego się wyrzec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim marne."

Mam troje dzieci, wszystkie płacą na Skarb Narodowy (od czasu zjednoczenia) i cóż mam odpowiedzieć 9-letniemu synkowi, który czytając te wypowiedzi w „Myśli Polskiej" stawia szereg pytań, na które żeby odpowiedzieć bez ujmy dla szerokiego ogółu rodaków na uchodźstwie i nie podkopać swego ojcowskiego autorytetu oraz najważniejsze: nie zachwiać entuzjastycznej miłości do Polski (której nie widział) — trzeba by salomonowej mądrości...

Doświadczenie z niedalekiej przeszłości jakże jest wymowne. Tak zwani „Volksdeutsche" jakąż pogardą obdarzani byli przez Niemców. Do jakich brudnych usług byli używani.

A jakie zyskują przyjmujący inne obywatelstwo uprawnienia w sensie oddziaływania politycznego? Bądźmy szczerzy: w pierwszym pokoleniu — żadne. W drugim — syn cię wyklnie, żeś zamknął mu drogę do prawa chwały twego rodu, narodu, ojczyzny.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Godzich Kazimierz

Francja

Z TEKI PANI MALINY

Malina Zaleszczycka
pułkownikowa dyplomowana
Earl's Court 13. 4. 55

Jagodo Kochana,

„Ach kiedyż przekujem, jak mówi poeta, na oręż lemiesze skrwawione?" Kiedyż człowiek wreszcie będzie mógł przestać być Działaczką? Nie masz pojęcia jaka jestem zmęczona! Właśnie wróciłam z zebrania z Purley. Purley to już Teren, bo dojeżdża się tam nie kolejką ale koleją.

Na zebraniu była niezwykle silna i doskonale zorganizowana opozycja zamkowa, gdyż przyszła cała rodzina Omieszków z wszystkimi lokatorami.

Dom Omieszków, to istna twierdza zamkowa. Przemawiał major Omieszka, ostro krytykując politykę personalną byłych władz wojskowych, zwłaszcza w roku Festiwalu, ale sięgał głęboko w przeszłość aż do Palestyny. Podkreślił, że ludzie, którzy zaczynali od pomijania zasług żołnierskich skończyć musieli na zdradzie legalizmu, jak dwa a dwa cztery. Majorowa Omieszkowa wniosła ton uczuciowy referując stanowisko Matki-Polki i nawet pokazując różaniec. Z kolei zabrał głos młody Omieszka. „„Panie i panowie — zaczął — ja jestem bardzo szczęśliwy przemawiać do was na tak poważny przedmiot. Wszystko ja chcę powiedzieć jest we mnie must have a president, we must. How can we be Poles without having . . .“ Tu zaczęli na niego wołać: „Mów po polsku! Tu polskie zebranie!“. „Sorry — tłumaczył się — to jest za trudne dla mnie when I get excited.“ „Mów po polsku!“ „Them perhaps my Daddy would...“ I usiadł. Major Omieszka zabrał głos ponownie. Podkreślił straszliwe niebezpieczeństwo grożące emigracji, jeśli przestanie być państwowa.

Opozycja wysunęła także sprawę generałówny Kwiatkowskiej. Generałówna Kwiatkowska została wybrana wicekrólową piękności w Purley. „Fakt niedopuszczalny — mówiła majorowa Omieszka — w świetle postawy zajętej przez generała Kwiatkowskiego w stosunku ze zjednoczeniem i legalizmem. Czyż córka antylegalisty może pretendować do reprezentowania Kobiety Polskiej, do zaszczytnego tytułu Miss Polonia? Domagamy się odebrania jej mandatu wicekrólowej!“ „Hear, hear!“ — zaczęła wołać majorówna Omieszka. W atmosferze ogólnego podniecenia przewodniczący przywołał majorównę Omieszka do porządku. Na to opozycja powstała i na znak protestu opuściła salę.

Trudność terenowa w Purley polega na tym, że Zamkowcy mają w swej dyspozycji dwa samochody (Humber i Wolseley), a Obóz Zjednoczenia tylko jeden (Another Morris), co daje im przewagę w walce ruchowej. My natomiast musimy często posuwać się po siatce pieszej, zwłaszcza gdy Morris zajęty jest przewożeniem ciastek. Na temat tego Morrisa puszczono nikczemną plotkę, że pułkownik Kolej kupił go z niewiadomych funduszów, a wcale nie z ciastek.

Nie wiem, Jagodo Kochana, czy zdajecie sobie tam w Ameryce sprawę z natężenia walki jaką tu toczymy. Cóż trudno: skończyły się czasy wyścigu krwi, teraz jest wyścig pracy.

Z niepodległościowym, żołnierskim pozdrowieniem „Cześć“,

Twa
Malina

„MYSL POLSKA“
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8. Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.)